

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny

Dla zachowania świeżości cery
Crem Venus usuwający plamy
Piegi i liszaje 60 k. i 1 rb. 20 k.
 oraz **Puder Venus**
 dla pań, higieniczny i delikatnie przylegający.



Agatol proszek
 pasta
 eliksir
 do czyszczenia zębów.
 z silnym aromatem i o właściwościach antyseptycznych poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, Leszno 12, telefon 52-34.

WYDAWNICTWO „ODRODZENIA“

OKTAWJUSZ MIRBEAU

„KARTKI Z NOTATNIKA NERWOWCA“

spolszczył i w przedmowę zaopatrzył

Jerzy Huzarski.

Skład główny w Księgarni Powszechnej Marszałkowska 139.

CENA RB. 1.

CZWARTE

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO WZAJEMNEGO KREDYTU

Królewska 17. Telefony 45-45, 99-35, 79-15.

Kapitał odpowiedzialny 1200 członków wynosi 1,750,000.

Załatwia wszelkie operacje wchodzące w zakres interesów bankowych. Przyjmuje kapitały na oprocentowanie od 50 rubli.

Płaci od wkładów:

za okazaniem	3½%	za 3 miesięcznym wypowiedzeniem	5%
„ 5 dniowym wypowiedzeniem	4%	„ 6 „ „	5½%
„ 1 miesięcznym wypowiedzeniem	4½%	„ 1 rocznym	6%

Towarzystwo wydaje przekazy na zagranicę.

Zarząd: Feliks Rychłowski, Wincenty Koszłowski, Karol Olszowski.

Z LABORATORJUM L. LALEUF W ORLEANIE (Francja).

Jodyrina Doktora Deschamp

(Iodhyrine du D-r Deschamp)

Ogólnie uznany środek przeciw

Otyłości

zalecany przez lekarzy z doskonałym skutkiem. Jodyrina D-r Deschamp jest środkiem odtłuszczającym, działa skutecznie już od samego początku leczenia, Jodyrina D-r Deschamp nie ma ubocznego szkodliwego działania.

Usuwa otyłość stopniowo w bardzo krótkim czasie. Cena pudełka, zawierającego 60 pastylek włoplat. Rb. 4.25 k. Sprzedaż we wszystkich aptekach i składach aptecznych.



Mączka mleczna Nestlé'a.

Od przeszło 40 lat polecana przez największe powagi lekarskie świata jako idealny pokarm dla niemowląt oraz osób dorosłych chorych na żółtek.

Pierwszorzędny Magazyn Ubiorów Męskich

WACŁAWA DRABIK

MARSZAŁKOWSKA Nr. 91.

Otrzymał na obecny sezon nowości krajowe i zagraniczne.

KRÓJ WYKWINTNY.

DOM HANDLOWY

F. GRÜNKRAUT

Warszawa, Długa 50 (Pasaż Simonsa)

POLECA:

giemzy i koniki lakierowane amerykańskiej marki

STERLING

Najtrwalsze w noszeniu.

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny.

Redakcja i administracja: Trębacka 10. Telefon 144-40.

Smutne pół...

Stefan Gacki.

Ostatnim etapem klęski jest chwila, gdy świadomość porażki sprawia, iż z ust nie wydobywa się już nawet okrzyk pociechy: tout est perdu fors l'honneur.

Po potężnym napięciu wszelkich władz duchowych pozostaje jedynie głuche rozdrażnienie, przykry dreszcz, wstrząsający skrępowanymi członkami. Ale w dalekich jeszcze od równowagi nerwach tętni chęć walki i oto ciało pręży się w rozpaczliwym skurczu, zgrzytając zęby na własne trafiają wargi i ranią je boleśnie. Jest to chwila, gdy w poczuciu swej bezsilności jeden żebrze o litość, a inny miotać się zaczyna, ale już nie na swych wczorajszych przeciwników, lecz na los, na życie, na wczorajszych towarzyszy walki; ale wczorajszy rykerz przestaje być już wtedy tragicznym i odrazę tylko budzić może. Wyzuwa się z wszystkiego, nie wyłączając już nawet honoru. Wszystko staje się dlań bronią: od mętnej plotki do obelgi, od taniego konceptu do karczemnego wyzwicka, od zjadliwej insynuacji do sądowego dokumentu. Mowa traci tu swe dostojęństwo, słowo swą wartość, staje się ono ślepym pociskiem, wyrzucanym przez rozjątrzenie i niekontrolowanym przez poważny namysł.

Bez wyboru szuka się wtedy przyjaciół i sprzymierzeńców, rekrutuje ich wśród tych, którym wczoraj jeszcze nie szczędziło się gorzkich zarzutów. W imię hasła: kto z nami ten nasz, za własnymi szaniami ukrywa się jednostki podejrzaney wartości, najsurowsze natomiast przykładając miary do swych przeciwników.

W bagnisty wir osobistych porachunków, wciąga się jednostki, dla których tylko przywią-

zanie do osób lub wrodzona swarliwość jest motywem przyłączenia się do kłótni.

Jak bezgranicznie smutnym jest, gdy w gorzącym tym widowisku biorą udział ludzie, którzy z przeszłości swej mają prawa wylegitymować się w taki sposób: „kiedy nadszedł czas górny, czas chmurny“... „Rarytko liczył gwiazdy przez małe szybki z kratkami na Dzielnej, Korytko oczekiwał niewygodnego krawatu, brzękając stalowymi bransoletkami, a Korytorytko robił studia na koszt państwa w okolicach podbiegunowych“... Tak mówi o swoich „Młot“ — i co najsmutniejsze, że to może być prawda.

Może być prawdą, że krecia robotą, prowadzona z narażeniem życia i wolności, idzie w ten sposób na marne, że energja bojowa niezbędna w dzisiejszych czasach zmagania się z wszechwładną reakcją wyczerpuje się na kopanie dołków pod Wolną Myślą polską, na wściekle lżenie oponentów, na bezmyślne negowanie wartości kulturalnych olbrzymiej wagi, na zjadliwe opluwanie tego, co największe umysły nasze w serdecznej męce wydały.

A na to p. Andrzej Niemojewski „wzamian za swe powiedzenia stawia 23 lata swej publicznej pracy“.

Istotnie pracę tę znamy i oceniamy, ale tym boleśniej jest dla nas, że i ten walor ma służyć za oręż w chwili, która właśnie z tą pracą tak bardzo nie licuje. Bo gdzie jest istota tego sporu? Zaginęła. Zniósł ją mętny potok wycieczek osobistych, zalała piana obustronnego rozjątrzenia. Zasady, ideje, o które rozpoczęła się walka, poszły w ką, a na ich miej-



sce rozparła się stugębna, białymi lyskająca kłami polemika, która już tylko o prywatę walczy i cudzą cześć szarpać pragnie.

Gdy z obu stron syją się takie wyrazy, jak „prowokator, szantażysta, fałszerz, łotr, bla-zen”, ustaje wszelka dyskusja, a jeśli nawet z potoku tej brudnej cieczy publicystycznej wyłowiłbym mógł pewne idejowe wytyczne, to nie czynię tego w tej chwili, gdyż wyznam szczerze, iż z niechęcią i odrazą mieszam się do sporu prowadzonego w podobny sposób.

Ale jedno wszakże podnieść muszę, bo jeśli wolno jest usuwać się od dyskusji, w której stronie wykraczać zaczynają przeciw regulom parlamentarnym, to obowiązkiem każdego jest zabrać głos, gdy walczący zaczynają już obrażać coś więcej nad poczucie taktu i smaku.

Gdy niedawno rzucono hasło „odżydzania polskiego postępu”, nie spotkało się ono wprawdzie z jawną aprobatą, ale padło na grunt wielce podatny.

Cichutko kielkowało w kółkach i kółeczkach postępowych, czasem tylko odzywając się niemilym sykiem, aż wreszcie dziś ukazało swe koślawe pędy.

I oto walka z pewnym programem działalności społecznej, w którego rozbiór nie wdajemy się na razie, przybiera postać walki z rasową grupą; i oto przedrzeźnianie gwary żydowskiej staje się nie tanim konceptem, lecz argumentem; i oto rodzi się ów ubliżający postępowi polskiemu ton, którym przesiąknięte są artykuły p. Niemojewskiego i jego satelitów.

Z tym procesem odżydzania postępu polskiego raz już skończyć trzeba, gdyż kosztował on nas zbyt dużo, a w przyszłości kosztować może jeszcze więcej. Ten chwast najlepiej umierzwii glebę dla seperatyzmu żydowskiego, którego niebezpieczeństwo dla żydów z jednej strony i dla kultury naszej z drugiej jest już i tak dość groźne. Dotychczas, prócz pochwał „Warszawskiego Dniwnika”, lub naszej prasy prawicowej, nie przyniósł on nam nic, a z czasem może zdobyć tylko pokłask „Roli” i t. p. i wytworzyć tę solidarność pod hasłem: „bij żyda”, o której marzą ni od dziś pewne żywioły.

Rezultat to dość nikły, szczególnie, gdy zestawimy go z tą krzywdą, jaką wyrządził nam ów prąd, stawiając takich publicystów, jak p. Moszeńska lub p. Rzymowski na tej pochyłości z której łatwo się stoczyć można... w objęcia Jeleńskich.

Rozprawy prasowe, wyjąłowione z wszelkiej treści społecz o-idejowej, a pełne jedynie nienawiści do poszczególnych jednostek lub grup, są z istoty rzeczy anty-społeczne i jako takie z żadnym programem nic wspólnego mieć nie mogą. Demoralizują one czytelnika, obniżają powagę drukowanego słowa, a dla tych, którzy wśród ogólnego zaciętrzewienia zdolali utrzymać równowagę są smutnym *testimonium paupertatis* wystawionym myśli naszej, przygnębiającym dowodem, że u nas „zawsze po dniach nieszczęśliwych zostaje smutne pół rycerzy żywych“.

Bożyszczca.

*Ulepion z gliny i odzian w nimb boga,
na marmurowym stawion postumen-
[cie,
wasz kłam urąga bólam i męczarni.*

*Usta ma zimne i źrenice wroga —
przed którym zgięci czołgacie się,
[marni,
wierząc we własne wizje i przejęcie.*

*A taka licha waszych myśli droga,
że dość zniewagą ośmieszyc wam
[próchno,
byście łzy leli na prochy zepchnięte —*

*i już stawicie znów z pamięci boga,
któremu cześci oddawacie święte,
choć u stóp jego wasze serca truchną.*

*Nie dość więc ludziom życia wściek-
[tej walki,
nie dość męczarni, która wśród nich gości,
i nie dość krwawych łez, płynących
[z powiek —*

*musi z kamienia mieć boga; westalki,
musi ofiarą padać własnej złości
i własnej sile musi uleż człowiek.*

Szósty przysięgły.

Charles Henri-Hirsch.

Z chwilą podpisania i oddania papieru woźnemu z magistratu, pan Lannoix poczuł w sobie duszę urzędnika, gdyż właśnie wybrano go sędzią do izby przysięgłych, gdzie miał zasiadać podczas drugiej sesji w maju.

Nie opuszczając kontuaru, zawołał na żonę swą, która w tej chwili doprowadzała do porządku resztki swych włosów:

— Matyldo, proszę cię, zejźd natychmiast!

Głos oschły dał się słyszeć z pierwszego piętra:

— W tej chwili.

— Chodź prędzej, kotku.

— Ależ, zostaw—ja się czeszę.

— Czeszesz się, jednak proszę cię, chodź prędzej. Opuszczając kasę pan Lannoix, poszedł do schodów wewnętrznych, które prowadziły ze sklepu do prywatnego mieszkania, jak również do składu płócien, perkali i wełny. Trzymając się poręczy, podniósł głowę do góry i rzekł:

— Matyldo, jestem sędzią w izbie przysięgłych.

— Ach, i dlatego mi przeszkadzasz?—odpowiedziała pani Lannoix.

Ubolewając nad tym, że obowiązki obywatelskie tak mało zajmują pustą głowę kobiecą, powrócił do kasy i zauważył, że panna Herminja, jedyna sklepowa w ich znanym domu nowości i resztek, źle ukrywanym uśmiechem okazała takie same lekceważenie, jakie przed chwilą wyraziła jego żona. Zaczął więc przekonywać ją, że nie byle jaki francuz może być wybrany sędzią.

Wejście klientki wybawiło sklepową od dłuższej dyskusji. Była to może dwunastoletnia dziewczynka z krótkim warkoczykiem, w czarnym fartuszk. Jąkając się i czerwieniąc, powiedziała, iż matka jej prosi o kłębek bawełny do cerowania za dwadzieścia centymów.

P. Herminja tak długo obsługiwała małą, że p. Lannoix zmuszony był czekać w kasie. Na pulpicie kasy znajdował się właśnie formularz, zawierający wszystkie prawidła, dotyczące jego nowego mandatu. Im obowiązki były trudniejsze, tym więcej pochlebiali jego podniecone miłości własnej.

— Bandyci powinni strzedz się teraz — rzekł, licząc cztery susy (sous) od małej klientki.

Dziewczynka wyszła szybko, wystraszona groźną miną właściciela. On zaś nawet nie zauważył tego; następnie, zamiast czytać feljton swego dziennika, jak robił zwykle, poszukał kroniki sądowej. Tego dnia było umieszczone sprawozdanie z posiedzenia sądu karnego. P. Lannoix znalazł proces ów błahym i nieciekawym. Przebiegł myślą wszystkie znane mu dotychczas głośne sprawy i życzył sobie takiej, któraby blaskiem swym zaciemniła wszystkie poprzednie.

Majestatyczna, o tłustym, podwójnym podbródku, długiej twarzy i oczach zmęczonych monotonnością sklepu, gdzie od lat dwudziestu pięciu pędziła życie, piękna pani Lannoix wyrwała go z tych głębokich marzeń, kędy zaniosła go jego naiwna próżność.

— Erneście, ustąp mi miejsca—rzekła.

Powtórzył jej, że został wybrany sędzią, lecz znów spotkał się z absolutną obojętnością.

— I ciebie to nic nie obchodzi, a przecież to zaszczyt?

— Ależ tak, mój drogi—potwierdziła.

Zwrócił się z kilkoma uwagami do p. Herminji, która niosła stos tekturowych pudełek, następnie powrócił do żony, uprzedzając ją:

— Wychodzę, by kupić sobie pięć kodeksów.

Zmierzyła go wzrokiem pełnym pogardy i szyderczo zapytała:

— Przypuszczam, że nie będziesz uczył się prawa, dlatego, że zostałeś sędzią. Przedewszystkim kodeks znajdziesz w sądzie, a my nie mamy pieniędzy na wyrzucenie, chyba wiesz o tym dobrze?

Mruczała coś jeszcze pod nosem, lecz widząc, że go nie przekona, poradziła:

— Idź, zapytaj pana Hanpied, czy kupował pięć kodeksów, gdy był sędzią?

P. Haupied był czcigodnym restauratorem. P. Lannoix lekcewazył go trochę z tego powodu, że sam zajmował się kuchnią w swym zakładzie i uważał go za umysł bardzo słaby.

gdyż należał do przeciwnego komitetu wyborczego.

— Czy jesteś pewną, że ten kucharz był sędzią?

— A dlaczegoż by nie?

— Dlatego! Tak, ale... to mnie jednak dziwi. Wiedział doskonale, że żona mówiła prawdę i zadowolenie jego słabło.

— Tak, to prawda, dodał, ostatnimi czasy wybierają nawet robotników.

Jego pogardliwy ton zyskał aprobatę pani Lannoix, gdyż klasa robotnicza stale omijała ich sklep, nie chcąc płacić zbyt drogo.

— A widzisz...

Uśmiech, który towarzyszył tym słowom, ośmielił go do prowadzenia dalszej rozmowy.

— To prawda, dlatego też właśnie trzeba by burżuazja, jak ja naprzykład, mogła oświecać elementy mniej wykształcone.

Był na tyle nieostrożnym, że znów wspominał o pięciu kodeksach, więc też pani Lannoix ostro przerwała:

— Dostyc, zamęczasz mnie tą gadaniną Erneście!

— Boże, jakaś ty niegrzeczna—westchnął.

Nie mając dość śmiałości, by prowadzić dalszą sprzeczkę, wyszedł na próg sklepu pokazać przechodniom gruby, złoty łańcuch, który zwieszał się na jego potężnym brzuchu. Z dużymi palcami, wsuniętymi w kieszonki kamizelki, robił wrażenie człowieka, który dorobiwszy się majątku, ma zamiar wycofać się z interesów.

*

W pierwszym procesie, w którym był sędzią przysięgłym, na ławie oskarżonych zasiadła młoda, nędzna para. P. Lannoix, by lepiej im się przyjrzeć, nałożył okulary. Patrzał z obrzydzeniem na te dwie wynędzniałe istoty, które tu sprowadziła bieda; zachwycał się swym równym, dostatnim, prawym życiem, które dziś daje mu możliwość i zaszczyt wymierzenia sprawiedliwości.

Byli oskarżeni o zabójstwo własnego, nowonarodzonego dziecka. Zabili je, bojąc się skazać maleństwo na głód, gdyż matka nie miała dość pokarmu. Ojciec zaś napróżno szukał pracy. Jego straszna, wygłodzona twarz zamykała mu drzwi wszystkich pracowni, sklepów i biur, gdzie ofiarowywał swą pracę za najmniejsze choćby wynagrodzenie.

— I po co tacy ludzie mają dzieci?—myślał p. Lannoix.

Porównywał dwoje tych ludzi ze zwierzętami, które rozmnażają się, jak króliki, lub szczury. Poddając się uniesieniom miłości, w zwierzęcej ekstazie zapominają o wszystkich następstwach swego czynu. Pogardzał nimi za ich zbrodnię, wstrętni mu byli przez ich nędzę.

A przecież nie był on bardziej oschłym, niż przeciętny człowiek, zadowolony z życia!

Żalotne odpowiedzi obwinionych wzruszały go chwilami. Zadał pytanie kobiecie za pośrednictwem prokuratora, który go uroczyście nazwał: „Szósty przysięgły“! Zaledwie zrozumiał co wyjąkała nieszczęśliwa, zdawało mu się, że wszyscy zwrócili oczy swe na niego, że być szóstym przysięgłym znaczy dojść do potęgi i zaszczytu.

Nastrój ten nie opuścił go, gdy prokurator odczytał swój wniosek.

Urzędnik ten swą wielką twarzą i jeszcze większym brzuchem przypominał spasionego mnicha.

W napuszonej mowie swej wspominał Saturna, niszczyciela własnego potomstwa, z powodu tej marnej, a tak prawdziwej tragedji. Mówił o groźnych Niemcach, gdzie ludzkość wciąż wzrasta, gdy przeciwnie we Francji, się zmniejsza. Dusza p. Lannoix była w stanie takiej podniosłej egzaltacji, jaką odczuwał około 14 lipca, gdy w magazynie swym sprzedawał republikańskie chorągiewki. Przyszłość ojczyzny przedstawiła mu się w odpowiednim świetle.

Argumenty obrońców nie były w możności zmienić jego przekonania. Przedewszystkim byli oni stanowczo za młodzi w stosunku do p. Lannoix.

Potępiali bezwzględnie społeczeństwo; w ich mniemaniu przestępcy owi byli raczej ofiarami, gdyż zdecydowali się na dzieciobójstwo by oszczędzić cierpień maleństwu.

P. Lannoix, którego owa nierówność socjalna nie pozbawiła ani dobrobytu, ani stanowiska społecznego, zżymał się na podobne wnioski, a nawet nazywał podłymi tych, którzy, nie bacząc na swe pochodzenie burżuazyjne, wsuwali się w szeregi demagogów.

Ach, przecież on widział w płomieniach „Tuillerie“ „Cour de Comptes“ „Hotel de Ville“ w 1871 roku, może więc powiedzieć do jakich ekscesów materialnych prowadzą zbyt daleko posunięte utopje.

Gdyby był na miejscu prezydenta skróciłby niebezpieczną rolę tych pieniaczy o marnej wymowie.

Bo i co oni mogą wiedzieć o życiu, w ich wieku będąc, by dowodzić, że jest ono okrutne w swoich przejawach. Nareszcie długa obrona skończyła się.

Podjął ją znów w sali obrad sam prezes izby przysięgłych. P. Lannoix oburzało, że był nim zwykły ślusarz, nie zaś jakiś przemysłowiec, dymisjonowany pułkownik, bankier, aptekarz, udekorowany naczelnik biura, lub właściciel nieruchomości,—to, co w oczach p. Lannoix stanowiło najwybitniejszą część tego areopagu.

Zarzuty, jakie czyniono prezesowi w odpowiedzi na jego obronę, dowiodły, że słowa prokuratora silnie wryły się w pamięć najlepszych towarzyszków p. Lannoix.

Wszyscy więc powtarzali, że zmniejszanie się ludności jest groźnym dla sprawy wolności narodu.

Ślusarz rzucił:

— O jakiej wolności mówicie, panowie?... zdychanie z głodu, to wasza wolność!

Gdyby był więcej subtelnym, byłby powstrzymał swe oburzenie. Nie przekonawszy nikogo o możliwości rozgrzeszenia tych dwojga nędzarzy, chciał przynajmniej uzyskać dla nich zastosowanie „okoliczności łagodzących“, przedstawiał więc ogólne straszne położenie proletariatu. Podniecał się, unosił podczas, gdy audytoryum jego zachowało zupełny spokój.

Naczelnik biura wypowiedział kilka zręcznych frazesów, w których moralność była uczoną naleźycie.

Bankier przypomniał najwyższy obowiązek wobec Francji, dlatego też wymagał krwawej kary dla tych złych francuzów, choćby dla dania przykładu innym.

Dymisjonowany pułkownik zgodził się z jego zdaniem, mówiąc, że naród nigdy nie będzie miał zawiele żołnierzy do powstrzymania żądy wrogów.

Nie czując się dość wymownym, p. Lannoix powstrzymał się od wypowiedzenia swych pięknych myśli.

Urna przechodziła z rąk do rąk dokoła zielonego stolika. Aptekarz i właściciel nieruchomości szeptałi pomiędzy sobą, potępiając arogancję robotnika:—im więcej dają mu prac i ulg, mówili, tym więcej żąda.

— Aż wreszcie przeciągnie strunę! dorzucił bogaty przemysłowiec.

Były trzy głosy przychyłne dla oskarżonych.

— A jednak znalazło się trzech ludzi serca — rzekł ślusarz.

Uśmiechy na twarzach obecnych byłyby skłoniły go do wypowiedzenia dłuższej mowy, gdyby nie bankier, który przerwał ów wstęp ostrymi słowami:

— Zachowaj pan lepiej mowę swą na jakimi mityng.

Na co ślusarz spokojnie odparł:

— Z chwilą, gdy lud przestanie dysputować, obywatelu, poznacie się z jego pięścią!

Po załatwieniu wszystkich formalności mężczyzna i kobieta dowiedzieli się, że zostaną wysłani na galery na lat dwadzieścia. Byli tak bezgranicznie przybici swym nieszczęściem, że ten ostateczny cios nie wywarł na nich wielkiego wrażenia. Kobieta załała się łzami i błagała by nie rozłączano jej z kochankiem. Ten ostatni poparł jej prośbę i rzekł, jakby usprawiedliwiając się:

— Znadto kochaliśmy naszą dziecinę, by widzieć ją zdychającą z głodu!

Panna Herminja i jej chlebobawczyni ciekawie oczekiwały powrotu p. Lannoix na progu sklepu.

Placąc doróżkarza, który go przywiózł, p. Lannoix obwieścił:

— Dwadzieścia lat ciężkich robót... Mężczyzna i kobieta, którzy zamordowali swe dziecko. Zaledwie mógł opisać ową parę i nie mógł sobie przypomnieć płci małej ofiary. Zapomniał nawet przyswoić sobie silniejszych zdań z oskarżenia, którymi miał zamiar popisać się w domu. Zaczął wychwalać swych towarzyszków sędziów, starego oficera, urzędnika, finansistę, by nawet przed własnym sumieniem obrzydzić tego gadatliwego ślusarza, którego prosty przypadek uczynił prezesem izby przysięgłych, a który swymi anarchistycznymi propozycjami raził i drażnił uszy, słuchających go uczciwych ludzi.

— Według jego zdania należało ich uwolnić!! Jednakże sumienie nie pozwalało nam uczynić coś podobnego, choćby dla dania przykładu innym.

Następnie proponował nam zastosowanie okoliczności łagodzących! Nie wyobrażacie sobie nawet, jakim on tonem mówił do nas... Jak groził...

Śmiał przypuścić, że nie zawsze burżuazja będzie uprzywilejowaną. Dali mu też okoliczności łagodzące!.. Ach, dureń!

Podczas, gdy mąż jej opisywał owego słuszarza, obdarzając go najgorszymi epitetami, pani Lannoix, której umysł nie odznaczał się

zbytnią bystrością, absolutnie nie mogła zorjentować się, czy pan Lannoix i jego towarzysze sędziowie skazali na katorgę owego opętańca, czy też tę nieszczęśliwą parę, która dla niej również nie była ani sympatyczną, ani ciekawą.

tłom. R. O.

„Król Duch” w całości.

St. Mleczko.

- (1. Konstrukcja. 2. Rapsod o ks. Dymitrze. 3. Wyspiańskiego zakończenie
4. Zredagowanie. 5. Głębiny i powierzchnia).

(VI. Ciąg dalszy).

IV. Zredagowanie.

Opierając się na tekście autografów *Króla Ducha* w Gubrynowiczowskim wydaniu dzieł Słowackiego, podaję wskazania jak należałoby, sądzę, zredagować to nieuporządkowane przez autora, a teraz w części zaprzepaszczone arcydzieło poezji polskiej, aby — powtarzam — wedle sił naszych oddać poecie to co mu się dziś od nas należy¹⁾.

Przyświeca mi nadzieja, że tym sposobem wielki ten poemat zamiast dotychczasowej rzeckomej kabaly okaże się, być może, przystępnym i zrozumiałym dla szerszego ogółu naszej inteligencji i wyluszczy się potwierdzenie zasady, że najwyższa twórczość w dziedzinie piękna, skoro jest zrozumiana, zawsze prostoty do-

sięga. Niema zaś obawy, żeby dzieło to kiedykolwiek znalazło się na rynku, gdzie „wrzask przekupniów i bzykanie os jadowitych” — wydaje mi się ono bezwzględny naszym plusem w zdobyczach ducha narodowego²⁾.

Oto, sądzę, właściwy układ części *Króla Ducha* jako wynik dzisiejszej naszej jego znajomości: A. *Rapsod 1. Popiel* — 3 pieśni. B. *Rapsod 2. Księga legend* — 4 pieśni i *Mieczysław* — 4 pieśni. Razem 8 pieśni. C. *Rapsod 3. Bolesław Śmiały* — 4 (5 ?) pieśni. D. *Król Duch — upiór*: 1. *Rapsod o ks. Dymitrze*, 2. *Widmo Króla Ducha na Dziadach*, 3. *Apokalipsa*.

I. *Rapsod o Popielu* — 3 pieśni. Wydany, jak wiadomo, za życia autora. Należy jednak i tu uwzględnić dopełnienie i sprostowanie uczynione przez Małeckiego na egzemplarzu dzieł w Bibliotece Ossolińskich z pewnością na podstawie jakiejś wskazówki danej przez samego autora, a mianowicie: w pieśni 1 zakończenie 28 oktawy:

²⁾ Dla pełnego udowodnienia tej tezy należałoby jeszcze dokumentnie wykazać, że utwór *Król Duch* wolny jest całkowicie od „pierwiastku pałubicznego”. Irzykowski mocno zaszachował wartość niektórych arcydzieł poetyckich i naszych nad nimi zachwyty. O *Królu Duchu* mówi nawet wyraźnie: „wielu go czci dlatego, bo daje on szerokie pole do popisów filologicznych”. Nad odkryciami autora *Pałuby* niewolno szanujacej się krytyce przechodzić do porządku dziennego. Że Słowacki nie był utalentowanym Strumińskim, że był nie tylko w świadomości szczerym, ale i w podświadomości czystym i szlachetnym, postaramy się to jeszcze kiedyś indziej wyświecić.

¹⁾ Wydanie Gubrynowicza (Lwów 1909 r.) zastępuje nam reprodukcję autografów. Jeśli by je w drugiej edycji jeszcze raz starannie opracować, to mogłoby ono być wzorem w tym względzie. Teraz czas na poważne, stanowcze słowo krytyki artystycznej, gdyż w wielu utworach niedrukowanych za życia poety raz wraz przerywają się wątki bądź to wskutek poniszczenia kart, bądź, że części utworów są jakby notatki rozrzucone po marginesach i stronach niedopisanych. Trzebaby nieraz Arystarcha dla dobrego odszukania i zespolenia takich części. Obowiązani jesteśmy dziś wedle możliwości zastąpić samego poetę i prócz wydania materiału dla badaczy, opracowywać coraz to lepsze wydania, krytyczne dla całego narodu. Tu właśnie pole jest dla czystej estetyki. Zacząć pracę Małeckiego należy wciąż kontynuować i udoskonalać. Niestety, po nim niewiele na tym polu uczyniliśmy. Niekiedy nawet popsuliśmy to, co już było dobre. Okaże się to przy rozpatrzeniu drobnych utworów Słowackiego.

...niecnych pełne gadów
I zardzewiałej krwi męczeńskiej śladów
I nie żadną „odmiankę“, ale niezbędne sprostowanie błędu w okt. 30, zamiast ducha namiętne kapłany — fałszu n. k. Prócz tego przeoczenie korektorskie: Pieśń 1 w. 312 zam. wodze — wodzę. (Nb. Kropka na końcu wiersza, albo dwukropek. Być może jest tu nawet większa pomyłka: zam. wraz dwa wodże powinno być: wraz dowodzę).

II. *Rapsod o Mieczysławie*. Składa się z dwóch części.

Część I. Księga legend (Piast,—4 pieśni. (Z tych pieśni pierwsza wydana jako rapsod drugi, następne trzy — jako rapsod trzeci).

Pieśń 1. Początek tej pieśni w autografie pełen zmian i dopisów nie został przez poetę uporządkowany; aby więc zachować w nim zgodnie z autografem ciągłość myśli poetyckiej należy przezornie skorzystać ze zwrotek na marginesie podpisywanych, a nawet z niektórych przekreślonych, gdyż roboty tu swojej autor nie skończył. Wydaje mi się tu najlepszą redakcją następująca: Oktawa 1 pozostaje. Okt. 2 str. 213. Krwawe były mgły... Oczywiście wyrzucając wyrazy przekreślone przez autora. Okt. 3 wydana jako druga: Jeśliś uciekał... Okt. 4 str. 214. A już nie jako mara... (Niezbędna!). Tu korekta: w w. 4 zam. firmą—formą i w w. 5 zam. byłem—został Okt. 5 str. 213. Ani jesienna mgła... Oktawy 6, 7 i 8 wydane jako 5, 6 i 7. Okt. 9 str. 215. Bom myślał... (Tu wyrzucić wiersz: Chciałem rozsypać wszystkie członki moje). Okt. 10 str. 215 Lecz próżno bito... Okt. 11 w wydaniu 8 i t. d. Tym sposobem cała ta pieśń będzie miała oktaw nie 48 lecz 51 ³⁾).

№ 6. Włączając tę pieśń do ogólnego tekstu, nie mamy już prawa uważać Wodana jako drugie wcielenie Króla Ducha. Nie zdaje mi się też, aby ta pieśń była jakimś „zaniechanym rapsodem“. Jest ona tu wspaniałą introdukcją do następnych trzech pieśni.

Pieśń 2. Wydana jako pierwsza rapsodu trzeciego. Wydawana też wogóle nieogłędnie według pierwotnego autografu, a nie według redakcji udoskonalonej przez samego autora. Należy ją więc redagować podług odmian wykazanych na str. 424—427. Trudno mi się tu wdawać w szczegóły, odwołuję się do sma-

ku czytelnika znajdującego się na poetyce. Niech porówna choćby tylko w drugiej zwrotce ostatnie cztery wiersze, a przekona się, że wykazane są na tych stronach nie żadne „odmianki“ lecz udoskonalenia przez samego Słowackiego poczynione.

Pieśń 3. Wydana jako druga rapsodu trzeciego.

Pieśń 4. Wydana jako trzecia rapsodu trzeciego. Tu między zwrotką pierwszą a drugą wstawić zwrotką ze strony 228. Ta sama siła... To nie żaden warjant, to zwrotka niezbędna, choć dopisana na boku. Zamiast ostatnich czterech oktaw tej pieśni (20—23), z których zwłaszcza ostatnia istotnie dowodzi, że to ustęp z innej, odrzuconej redakcji ⁴⁾, należy dać oktawy 20—42 wydrukowane na str. 428—434. A więc ta pieśń ma 43 zwrotki, a nie 23.

Część II. Mieczysław—4 pieśni. Wydana jako rapsod 4-ty. W rękopisie biblioteki Ossolińskich jest to rapsod 2-gi w obu redakcjach. Tamże Księga legend zaznaczona jako „z rapsodu drugiego z Króla Ducha“.

Pieśń 1. Zamiast zwrotek 11 i 12-tej wstawić trzy zwrotki ze str. 234: 1) Właśnie tej nocy... (Tu w w. 2 zam. One — Me). 2) Właśnie po setny raz... 3) Właśnie te wszystkie... Zamiast ośmnastu oktaw: 18 — 35 można wstawić 24 oktawy str. 319—526 niemniej pięknie opracowane nanowo z pewną zmianą wersyfikacyjną ⁵⁾. W w. 237 zamiast wątku — wrątku.

Pieśń 2. Wiersz 111-ty zam. kapłanicy—tej kapłance (?). Zwrotkę 28 należy koniecznie zredegować podług warjantu na str. 225: A wtem wrócili z Czech... Wiersz szósty należy tu więc kropkami dopełnić, jeśli się nie uda go wysledzić w autografie, lub we właściwym duchu odtworzyć. (Oczywiście w tym ostatnim razie z odpowiednim zaznaczeniem).

⁴⁾ Bezwarunkowo odrzuconej, gdyż w tej, którą tu przyjmuję, tekst rozszerzony jest i udoskonalony. Zaniechanie zaś zupełne ostatniej zwrotki (23) gdzie mowa o wieszczce tę pieśń głoszącej, przemawia bardzo mocno za przyjętą przez nas ostateczną konstrukcją całego utworu.

⁵⁾ Zmiana polega tu na skróceniu w każdej zwrotce trzeciego wiersza, co wytwarza w tych miejscach jakgdyby jakąś zadumę i wogóle odrębny już cały ton poetycki właściwy dla tego ustępu. Naogół jednak przyjąć można niemal jako zasadę, że wszelkie warjanty wierszowane z jakim bądź odstępstwem od formalnej oktawy zarówno w *Królu Duchu* jak i w Beniowskim, były to eksperymenty, z których poeta zawsze się potem wycofał.

³⁾ Można zresztą przyjąć początek tej pieśni według wydania Górskiego ale nigdy według Gubrynowicza.

Pieśń 5. W. 80 zam. sukniccy—sienicy.
III. Rapsod o Bolesławie Śmiałym—4 pieśni.

Wydany jako rapsod piąty. Sądzę też, że rapsod ten należy raz na zawsze przyjąć tak jak wydany jest u Gubrynowicza.

Pieśń 1. Ważna jest dla skonstruowania utworu według myśli osątecznie przez samego autora przyjętej, Słowacki bowiem polecił Felińskiemu tę pieśń jako początek rapsodu o Bolesławie. A zauważmy, jak wiele zyskuje artystycznie cały rapsod przy takim rozpoczęciu, gdy je porównamy z pierwotnym, jakby klasycznym (Żelazny teraz wam żywot opowiem...), a naogół dotąd przez wydawców przyjętym. Odpowiada ona czterem pieśniom „Księgi Legend“, poprzedzającym ziemski żywot Mieczysława. Korekta: w w. 51 i 57 zam. widzę—widzą, w w. 111 zam. na—we.

Pieśń 2. Między zwrotkami 10-tą a 11-tą wstawić zwrotkę ze str. 273. Czucie wielkości... W w. 344 zam. was—nas (?).

Pieśń 3. W wierszu 115 wyrażenie: „że gdzieś kaciska” napewno nie pozostałoby w druku wobec wyrażenia w poprzednim wierszu: „bramiska złote”. Możeby tak: Że tam gdzieś katy...

Pieśń 4. W w. 105 ale wykreślić. Między 29-tą a 30-tą wstawić należy oktawę ze str. 288: Pod kłatwą twoją... Omyłki druku tej pieśni są wykazane na końcu tomu.

№ 6. W wydaniach popularnych można by, oczywiście z odpowiednim zastrzeżeniem dla zakończenia tej pieśni wziąć parę stosownych ustępów z epicznego utworu Wyspiańskiego: „Bolesław Śmiały“, a mianowicie zwrotki: 25—29 po pauzie: 37—39 i znów po pauzie 45—48. Wrazie zaś wydania całego utworu bez uwzględnienia pieśni o ks. Dymitrze i epilogów, to dodać jeszcze zwrotki 82—111. Razem te 42 zwrotki z Wyspiańskiego możnaby w tym razie umieścić jako piątą pieśń o Bolesławie Śmiałym. (D. c. n.)

Kaz. Zdziechowskiego — sny o „Łunie”).

P. Kazimierz Zdziechowski wystąpił przed laty z powieścią „Fuimus“, której zapewne dużo ludzi u nas nie czytało, potem napisał swe „Przemiany“ — i odrazu dał się poznać, jako talent głębszy, pełen wewnętrznego życia, o przepięknie zharmonizowanej indywidualności własnej.

Jeżeli chodzi o pokrewieństwa i parantele literackie, to niewątpliwie najbliższym się on okaże Józefa Weysenhoffa. Należy zapewne do tej samej sfery towarzyskiej, *societa beau monde'u* również jak dla p. Weysenhoffa nie ma dla niego tajemnic, traktuje ją, jak on, pobłażliwie, grzecznie, rozumnie,—lecz z tym wszystkim posiada wiele cech własnych, których na próżno byśmy szukali u autora „Podfilipskiego“ i „Sprawy Dołęgi“. Odrębnością tonu, sposobem pisania, łatwością ujmowania kwestji życiowych, szerokością poglądu wreszcie—wznosi

się o wiele wyżej ponad poziom, który ten autor sobie zakresił. Przytym jest bardziej, niż on, współczesny, bardziej związany z prądami czasu.

W Weysenhoffie pomimo jego rzeczywistego uzdolnienia literackiego — przebija zaciekły sekciarz, umiejący patrzeć na świat codziennej walki z losem jedynie poprzez monokl rodowodów, koligacji i przywilejów kastowych stronnictwa, do którego się słusznie zalicza.

Pan Kazimierz Zdziechowski jest wyższy ponad to. Lubi przebywać wśród kinkietów arystokratycznych salonów z tej lub owej strony Przedmieścia, lecz wznosi się także (nie mówię „zniża“, bo stwierdzono już oddawna, że te stoją wyżej) do poziomu suteryn, samotnych izdebek na „trzeciakach“, błądzi po brudnych zaułkach, paradyzach teatrów, a jego tłum jest nieraz tak żywy i zajmujący, iż sprawia wrażenie, że autor musiał się z nim stykać i niejednokrotnie.

Pomimo jednak spostrzegawczości brak powieści jego nerwu malarskiego. Potrafi

*) Kazimierz Zdziechowski „Luna“, powieść współczesna. Tom I i II-gi. (Warszawa, E. Wende i Spółka. Krakow. Gebetchner i Wolff. 1910).

przebajecznie odczuwać, analizować, wy-i-prze-subtelniać,—niema jednak owego silnego rzutu ręki, któraby jednym pociągnięciem pióra potrafiła stworzyć tło barwne i malownicze. Dlatego też w jego „Łunie“ czegoś mi brak. Brak wrażeń silnych, monumentalnych, wstrząsających, bez których żadna rewolucja nie powstaje, a które przecie złożyły się na tę chwilę tak dziwną, tak epokową, iż dotąd jeszcze napróżno z pod jej wpływu otrząsnąć się usiłujemy. Brak ludzi, którzyby ją z siebie wysnuli.

Ale tu oto stajemy wobec dziwnego dylematu, przed którym prawdopodobnie musiał się zatrzymać i sam autor. Nie wiemy, co było celem p. Zdziechowskiego. Czy chciał on odmalować ubiegłe wypadki i w ich świetle postawić stworzonych przez siebie ludzi? Czy też pragnął je potraktować, jako tło dla wysnucia zeń psychologicznej akcji powieściowej? Ta połowiczność zamierzeń wyrządza powieści ogromną szkodę. Nie czyni autora panem olbrzymiego czynu, kanwy bogatej, na której wysnuwa swe misterne wzory, lecz podporządkowuje go arkanom nie dość jeszcze skrytalizowanej roboty. Stąd to rozprzężenie, ta niedbałość treści, fabuły, jaka się wkrada pod koniec książki. Wiele scen powtarza się tam zbyt często. Rozdziały rosna ze szkodą całości.

I oto wraca znowu teza pierwotna: tej *Łuny* w powieści Zdziechowskiego niema. Zbyt wiele opowiada nam autor o życiu towarzyskim Pawła Naborowskiego, dotykając jego partyjnych momentów w sposób pobieżny, tymczasowy; — zbyt długo prowadzi nas przez salony księżnej Mirskiej, Agi i Henrietty Kamienieckich, — byśmy mogli odczuć głos ulicy, zrozumieć cel, ku któremu ona dąży. Wykwintny narrator, *causeur* salonowy bierze w nim górę nad działaczem społecznym, którym zapewne nie był nigdy. Jego ludzie partyjni, dobrze niejednokrotnie podpatrzeni w poszczególnych fazach swej działalności (Janek Śmiałowski, Ryszard, Orkiszowie, panna Malinowska), mówią nieraz, a nawet czynią rzeczy, których mówić i czynić nie powinni. Prawda psychologiczna ustępuje tu miejsca fantazji poetyckiej, która wysnuwa obrazy ze siebie coraz b. bujne, coraz bardziej rozkwitające legiendą niecodziennych zdarzeń. Cały epizod z Rzyżniewskim, głośnym literatem, przekomiczny wypadek nad Wisłą w chwili agitacji wojskowej, a później w momencie porachunku ze Światowskim, bu-

dzić muszą wątpliwość, czy autor dość zdawał sobie sprawę z realnej grozy wypadku.

Natomiast większe zaufanie żywimy do niego, kiedy mówi o Hance Skibowskiej, samotnej autorce „Żagla“, kiedy się rzuca w objęcia Rzyżniewskiego, postaci nieraz pięknej, pociągającej, choć niesympatycznej, jak to się później okaże, — w swym całokształcie. Samotny lotus poezji zespolony dziwnie z żałosliwą idyllą Hanki, która szuka, która błądzi, z obłudą histeryczki, lecz i wejrzeniem pełnym odwiecznego smutku, — wysubtelnia tę dziwnie wrażliwą duszę odgłosami walk, idącymi z nizin, refleksami płynącymi od nich napelnia karty, jak w „Jaskółce“ Daniłowskiego szarością cichego smutku, łzawej melancholji, i czyni z tej bolesnej tragedji dwojga dusz coś więcej, aniżeli powolne konanie pośród szleszczących liści jesiennej szarugi.

Tak do samotnego domu, nad którym za chwilę ma dach runąć, wchodzi ponure widmo nieszczęścia, całunem swoim otula blizkich i dalekich, zieje nicosć i pustkę. Przejdzie lato wylęcane kłosem pszenicznym, zanirze słoneczna jesień, srebrna zima zwarzy swym mrozem kraśne jagody jarzębiny, — lecz na czarnych ugorach smutku nigdy już nie zazieleni się runią pierwszych traw, nie rozzłoci kaczeńcem, nie napelni powietrza jaskółczym szczebiotem — przesłoneczna Pani Duszy — Wiosna. Hanka Skibowska — to postać przedziwnie piękna, jedna z tych, które, zdaje się, czekają chwili, by wychylić się z poza ram książki i pójść w życie — samotne, tułacze życie.

Zdawałoby się utwór przydługi, monotony, przysypany piaskiem refleksji. A jednak o „Łunie“ Zdziechowskiego tego powiedzieć nie można. Pomimo wad konstrukcji, mimo szablonowość tu i owdzie powtarzającej się akcji, — „Łuna“ ma swe walory niepowszednie. Ładny język, poczucie stylu, skończoność formy, prawie zawsze wytwórczej, choć pełnej prostoty, — czynią z niej jakieś cacko misterne, wykolysane w godzinach marzeń. I zdawałoby się jakieś chochliki psotne a pełne przekory, kazały temu dziecku fantazji brać się za bary z rzeczywistością. Bajka o szczybie słonecznym, owiana mirażami złudzeń, pękła pod naporem nurtujących prądów. Zły los poczynił szczyby w przedziwnej piękności naczynie.

Na szalach sądu zwycięzko zawisł tom drugi. Momenty drzemki, niemocy, — zwalczyły momenty twórcze. Architektonika całości roz-

przegła się pod dotknięciem chłodnego skalpela wypadków.

A jednak przejść obok „Łuny“ obojętnie nie można. Autor wznosił się niejednokrotnie na szczyty stylu, — u szczytu twórczości jeszcze nie stanął. Pieśń rzucona czasom współczesnym, nie umrze dla tych, co ją czytać będą. A czyż to nie jest już kresem dla autora, którego twórczość rozpromienia się słonecznym kręgiem tęsknoty i ukochaniem życia?

W jednej z swoich powieści powiedział Gabriel d'Annunzio. „Prawdziwym czytelnikiem

nie jest ten, który mię kupuje, — lecz ten, który mię kocha“. Równie dobrze mógłby powiedzieć o sobie autor: „Kto kocha mój styl, temu obce będą me wady“. Ale krytyk, któremu sądono być sumieniem artysty, musi mu je wytknąć, nie może przejść obok nich z poślazaniem chwili lub smakiem czasu. Dla tego, wytykając, miast powiedzieć: „Kochaj, bo kochasz Piękno wieczyste“ — mówi: „Kochaj, bo to, co kochasz, natchnęło pożądanie piękna“.

Bolesław Podlewski.

Ostatni preraphaelita.

W środę, 7 Września, zmarł w Londynie ośmdziesięcioletni William Holman Hunt, ostatni członek sławnego bractwa Preraphaelitów, które stanowi epokę w malarstwie angielskim.

P. R. B. (Pre-Raphaelite Brotherhood) owe inicjały tajemnicze, które ukazując się w swoim czasie na obrazach, wzbudziły tyle namiętnych protestów, krytyk i szyderstw, oznaczały ściśle związane trójprzymierze malarzy, nazwiskiem: Holman Hunt, Dante Gabriel Rossetti i John Everett Millais. Bractwo to miało na celu odrodzenie malarstwa angielskiego na zasadach prawdy i prostoty, oczyszczenia go ze sztucznej napuszoności i konwencyonalizmu epoki. Hunt był duszą związku.

Urodził się w Londynie, w kwietniu 1827 r. Pochodzenia purytańskiego, zachował cechy charakteru przodków: twardą niezłomność i kryształową czystość. Pierwsza młodość jego — jak to już jest nieledwie regułą dla wszystkich ludzi niezwykłych—była ciężka i smutna. Ojciec, przeciętny, praktyczny kupiec, chciał podobnej kariery dla syna. Dowiedziawszy się, że chłopiec ustawicznie rysuje w klasie i rysunkami pokrywa marginesy książek, odebrał go ze szkoły i oddał do kantoru w City. Dwunastoletni William znalazł się w małym pokoiku o bielonych ścianach, w ognisku interesów, wrzawy i zamętu handlowego Londynu, gdzie miał się wyrobić na „porządnego kupca“ Ale przemożny głos talentu nie dał się stłumić. Chłopiec rysował wciąż, i rysunkami obudził

uwagę, a potem podziw zwierzchników. Talent jego był tak widoczny, że zaczęto wszelkimi sposobami wpływać na ojca, aby nie stawiał dłużej zapór przyrodzonemu powołaniu syna. Po długich odmowach, przyzwolił nareszcie z niechęcią i odrazą. Młody Hunt mógł odtąd trzy razy na tydzień oddawać się studjom klasycznych wzorów w Muzeum Brytańskim.

Zaczął się okres szczęścia dla młodzieńczego artysty: okres szczęśliwych marzeń, ale ciężkiej rzeczywistości. Ojciec nie pomagał mu w niczym. Musiał malować portrety, odnawiać lub kopiować stare obrazy, by zarobić na codzienne utrzymanie. Dwa razy zdawał do królewskiej akademii sztuk pięknych, i dwa razy został odrzucony. Ojciec zapowiedział, że jeżeli się to jeszcze i następnym razem powtórzy, każe mu wrócić do City, do handlu. Widocznie jednak geniusz sztuki czuwał nad losami artysty. Trzeci egzamin został uwieńczony powodzeniem. Ośmnastoletni Holman Hunt wstąpił do akademii, i w następnym 1846 roku wystawił pierwszy swój obraz.

Tutaj, w szkole sztuk pięknych, poznał i pokochał tych, których imiona połączone z jego imieniem, miały później unieśmiertelnić się w historii malarstwa w Anglii. O trzy lata młodszy Millais znajdował się w o wiele szczęśliwszych warunkach, otoczony opieką i uznaniem rodziców. Holman Hunt, cichy i skromny, był zawsze na boku, nie wiele zwracając uwagi na siebie.

Lecz jego charakter purytański, i odziedziczony po ojcu, zmysł porządku pociągnął — może na mocy kontrastu — gorącą naturę i południową wyobraźnię Dante Gabriela Rossetti'ego. W roku 1848 zamieszkali we wspólniej pracowni. Tutaj przeżyli wiele ciężkich dni głodu i nędzy. Tutaj wśród namiętnych dyskusji narodziły się owe sny wielkie, młodzieńcze ambicje i rządy czynów artystycznych, które zreformowały wpadłą w sztuczny klasycyzm i fałszywy sentymentalizm sztukę Anglii.

Objawienie przyszło, gdy oglądali kopje fresków z Campo Santo w Pizie. Madonny Prymitywów o skromnym uśmiechu w hieratycznym układzie, tak dekoracyjne w pozłocistych szatach: cała ta sztuka pełna prostoty i słodyczy, otworzyła nowe światy oczom młodych artystów, twórczość ich skierowała na nowe tory. Przyszli do przekonania, że wraz z Rafaelem począł się upadek malarstwa. Prawdę i prostotę — owe nieodzowne cechy każdej wielkiej sztuki znaleźć można tylko u wcześniejszych mistrzów. I z entuzjazmem nakreślili sobie następujące zasady:

„Zawsze i wszędzie wyrażać prawdę. Studiować naturę we wszystkich jej przejawach, aby ją móżdż odtwarzać ze swobodą. Ukochać to, co jest w sztuce bezpośredniego, szczerego i poważnego, a gardzić nieszczerością, rutyną i malowaniem na pokaz. Narzucić własny surowy kodeks moralności artystycznej, moc impetyczną swych wizji pokoleniu, które lubuje się w ckliwości, ostrożności i konwencyonalności malowideł“.

Zasadam tym Holman Hunt pozostał wierny przez całe życie.

Bractwo P. R. B. było tedy zawiązane. Składało je siedmiu członków: Dante Gabriel Rossetti, William Rossetti, Millais, Wolner, Collinson, Stephens i Holman Hunt — pierwszy i ostatni preraphaelita.

Jak zwykle, wobec wydarzeń, które zakłócają znany i ustalony porządek, pojawienie się bractwa tego wywołało burzę wymysłów, oburzenia i gniewu. Krytyka urągała, szeroka publiczność wyśmiewała się... Jedyny Ruskin był obrońcą nowej szkoły, lecz świetne jego apologety nie mogły przeważać rozwydrzonego „vox populi“. Organ związku „The Germ“ został zamknięty. Rossetti zmuszony był sprzedać za 40 funtów swoją „The Annunciation“ (Zwiastowanie) którą później kupiono za 8,000 f. i która jest teraz ozdobą Tate Gallery. Holman

Hunt pozbawiony środków do życia, przemyślał o wyemigrowaniu do Kanady.

Ocaliła go przyjacielska pomoc Millais'a. Zamieszkali razem w Surrey. Tam wspólnie malowali „The Hireling Shepherd“. Tam Holman Hunt rozpoczął sławne „Światło świata“ (The Light of the World) najlepszy swój obraz, który imię jego unieśmiertelnił.

Wierny zasadom malowania z natury, pracował nad tym dziełem od ósmej wieczór do czwartej rano, przy świetle księżycy, w ogrodzie, mając Millais'a za model. W imię tych samych zasad, gdy przedsięwziął malowanie scen z Pisma Świętego, w parę lat później, udał się do Palestyny, by na miejscu wystudyować pejzaż. Tam, w Palestynie, powstało drugie arcydzieło „The Scapegoat“, malowane na płytkim, słonym brzegu Morza Martwego i odtwarzające, z najdrobiazgowszą dokładnością zarówno krajobraz, jak każdy szczegół ciała zwierzęcia. Opowiadają, że Gambert, handlarz obrazów, który zamówił był płótno, odmówił jego przyjęcia, skarżąc się komuś:

— Chciałem jakiegoś pięknego obrazu religijnego, a on mi maluje wielkiego, grubego kozła!..

Teraz kolejno powstawały mistrzowskie, pełne głębokiego uczucia religijnego utwory: „The Finding of the Saviour in the Temple“, „The Shadow of Death“, „The Triumph of the Innocents“. Z obrazów angielskich zaznaczyć należy: „May Day on Magdalen Tower“, „London Bridge on the Night of the Marriage of the Princess of Wales“, oraz włoskich „Isabella and the Pot of Basil“, oraz wiele, wiele innych, na których wyszczególnienie brak tu miejsca.

Arcydziała powstawały, ale uznanie nie przychodziło. Gdy Hunt podał kandydaturę swoją do akademii królewskiej, otrzymał jeden głos zaledwo. To dokonało zerwania jego ze sztuką oficjalną. Obrazy jego odtąd wystawiane były oddzielnie.

Życie tak pełne trudów i przeciwności, złamałoby każdego. Hunta nie złamało. Jego „bracia“ pomalu odpływali w stronę przeciwną. Jednego unosił temperament, drugiego żądza powodzenia... Hunt do końca pozostał niezmiennym, tym samym idealistą w 83 roku życia, jakim był w ośmnastym, gdy wstępował do akademii.

Przed pięćdziesiąt laty wydał wielką książkę o 1000 stronnic, zawierającą wspomnienia o bractwie

„prerafaelitów“. Koniec życia jego zakłócony został kompletną prawie ślepotą, która go trzymała zdala od współczesnego ruchu malarskiego. Smutna ironjo losów ludzkich! Wtedy gdy lepsze warunki materialne pozwalały mu spokojnie i całkowicie oddać się umiłowanej sztuce,

był już niezdolnym do pracy. Pomyślność przyszła za późno.

Imię Holmana Hunta nazawszże pozostanie w historii sztuki angielskiej, jako jedna z najświatlejszych i najpiękniejszych jej kart.

m. r.

Z teatru.

Bilans lata.

Naprzód kilka słów wytłomaczenia.

Nagabywano mnie ze wszech stron, dlaczego, tak gorąco kochając teatr, tak mało poświęcam mu czasu i miejsca. Nie zwykłem bronić się nawałem zajęć i brakiem czasu i potrafię wydobyć z siebie tyle sił, a z dnia i nocy tyle godzin, ile ich potrzeba do objęcia i przeobrażenia następczonego mi przez życie materiału do pracy.

Nie pisałem o teatrze jedynie dlatego, że zbyt gorąco go kocham i nie umiem pastwić się nad niczym wysokim, co jest w poniżeniu, nad żadnym ołtarzem, w którym czuję jeszcze niegasnące blaski, choćby nawet pachofy rozkradły wszystkie ozdoby, służące do podniesienia i uczczenia świętości miejsca, aż do ostatniej kadzielnicy, aż do ostatniej świecy.

A prócz tego zbyt chępię się swą niezależnością, bym się miał poczuwać do obowiązku pisania o każdej sztuce, którą przynosi nam kaprys bezmyślnego, przypadkowego repertuaru.

Podobało się jednemu z naszych krytyków nazwać to, co się dzieje na scenie warszawskiej — starczymi igraszkami — ale te igraszki zaczynają przybierać coraz groźniejszy charakter, coraz mniej są uciészne, i coraz bardziej niepokoją.

Nie chcę zapominać o tym, że oto zestawiam bilans lata, ale również nie mogę pogodzić się z myślą, by teatry miały być czynne u nas przez lato jedynie w tym celu, by swym repertuarem zożydzić nam teatr na resztę roku.

A to, czym nas karmiono podczas miesięcy letnich, mogło być rzeczywiście zachwiać obojętną równowagę wybrednego amatora wrażeń teatralnych, wyleczyć z tęsknoty za „rozrywką“ skazanego na przymusowy pobyt w mu-

rach miasta i ostatecznie przekonać go, że w Warszawie niema teatru poza operetką.

„Sufrażystki“, „Zuzia“, „Barykada“ Bourget'a, „Pogromca Kobiet“ — a wreszcie turniej artystyczny między dwiema scenami o godniejsze wystawienie „Tajfuna“ — nie! doprawdy, ma się wrażenie, że tytuły te wybelkotał kiedyś jakiś pijany kabotyn, a w Warszawie wzięto je za objawienie i sporządzono z nich repertuar pierwszej sceny polskiej.

Dla uważnego oka nie istnieje przypadkowość i w każdym zjawisku, choćby z pozoru całkowicie uzależnionym od samowoli, czy kaprysu jednostek, odkryć można cechę charakterystyczną, która wiąże je z nastrojem chwili, czyni z niego wykładnik ogólniejszych warunków i głębszych powikłań.

Nie posądzając też licznych kierowników sceny warszawskiej o jakąkolwiek planowość w układaniu repertuaru, dostrzegam jednak w sztukach, którymi nas raczono, pewne wspólne im wszystkim piętno, niemożliwe może nawet do osiągnięcia przez świadomą wolę jakiejś kierowniczej jednostki, a jednak tak łatwo dające się objaśnić ogólnym właśnie nastrojem chwili.

Nad chwilą bieżącą niepodzielnie, wszechwładnie zapanowała reakcja. Przejawy jej konstatujemy codziennie i nietylko w tych dziedzinach życia, nietylko w tych jednostkach, które, jak żadnym cyplem nieoszańcowane brzegi morskie, wystawione są na niebezpieczeństwo powodzi. Wzburzona, mętna fala wzbiera coraz szybciej, wdziera się coraz wyżej, i czego zatopić nie jest w stanie, to przynajmniej obryzga i poplami. A czyż nie jest to charakterystyczne, że w ciągu jednego krótkiego sezonu na scenie naszej zdołano ośmieszyć „Sufrażystki“,

pokłócić się z konkurentem o podejrzaną świeżość paprica-schnitzel, że po głos w sprawie robotniczej zwrócono się do specjalisty od alkow paryskich, że przez kilka wieczorów z rzędu bawiono nas niesmaczną kłótnią między wściekłą teściową i głupią synową.

Ani jednego żywszego akcentu, ani jednej zdrowej męskiej nuty. Gdy się porusza poważną sprawę, udziela się głosu Bourget'owi lub jakiemuś panu Królińskiemu; gdy teatr przedzierzga się w „miejsce godziwej rozrywki“ zjawiają się Schwiegermuttergeschichten i baśnie heroiczne à nous faire dormir debout.

Zdaje mi się, że dziś zaczynam również rozumieć, dlaczego niektórzy z pośród sędziów konkursu im. Słowackiego, którym obce były innego rodzaju pobudki, głosowali za „Sokołem“ Grabowskiego. Szukali oni pogodnego nastroju, wypowiedzieli się przeciw temu, co szarpie i targa, zmęczyły ich już czerwone firanki w oknach ich sypialni. Biedna „Zdziecinniała Polska“.

Ona to przemówiła znowu.

A ktoby chciał szukać innych jej nawarstwień, którymi, jak skorupą, nanowo porastać zaczyna życie, ten znalazłby je w sprawozdaniach dziennikarskich z „Wielkiego Fryderyka“ i „Carra Samozwańca“. „Polska Zdziecinniała“ poczuła się tu obrażoną i może nie z tych powodów, które wypowiedziane zostały głośno. Nie „żargon rosyjsko-polski“ drażnił ich w „Carze Samozwańcu“, i nie to ich zabolalo, że w „Wielkim Fryderyku“ zwrócił Nowaczyński żądło swej gryzącej ironji przeciw wyczyszczonej już przez oddalenie historyczne postaci biskupa Krasickiego. Im chodziło przede wszystkim o to, by się opędnąć przed męczącą zmorą, która dziś przed naszymi oczami wskazuje nam swe atawistyczne odpowiedniki w postaciach księdza Jażdżewskiego i dwudziestu trzech gości polskich na zamku cesarskim w Poznaniu.

W takich warunkach, gdzie żadna silna dłoń nie ma dość mocy, by zapanować nad sprzecznościami, gdzie każde gorętsze, niezależne słowo spotyka się z niechęcią, a wpływ jego bywa udaremniany przez szyskany i kierowanie ataków, na szczegóły z systematycznym pomijaniem i przemilczaniem punktów zasadniczych i istotnych wartości, z konieczności otwiera się wrota przed każdą „nieszkodliwą“ miernotą, odsłania się poważną kulturalną placówkę przed zakusami drobnych intryg i rzuca się ją na pastwę przygodnych jedno-

dniowych zdobywców warząchwi, służący im do mieszania strawy w stygnącym kotle i wylawiania co lepszych kęsków.

A wobec faktów tych prasa nasza milczy, albo z wyrachowania, albo w poczuciu swej bezsilności. Raz w raz tylko spotykamy się w dziennikach z inspirowanymi przez tę lub ową stronę utyskiwaniami na kierownictwo teatrem lub zupełny brak w nim kierunku; to znów napływają fakty, na których obronę wysiła się jeden odłam prasy, gdy inny zrzymia się na nie. Zdarza się naprzykład, że teatr Rozmaitości podejmuje ograną już w teatrze Małym i niebędącą bynajmniej żadnym arcydziełem sztukę, bo „ktoś“ uparł się przy swym pierwszeństwie do tego fabrykatu, przy swym kontrakcie, no i swym honorarjum za przekład. A prasa rozbrzmiewa okrzykami: teraz dopiero zobaczymy prawdziwe arcydzieło w godnym wykonaniu, konstataje z powagą, że Teatr Rozmaitości miał prawo wystawić tę sztukę, gdyż pierwszy ją zapowiedział itd... Tymczasem jasnym jest tylko to jedno, że dwie sceny na szkodę swą działają, że wzajem się zubożają, że utrudnia się zadanie artystom, że z wystawienia miernoty robi coś w rodzaju turnieju artystycznego, że tworzy się precedens, na którego powtórzenie nie długo trzeba było czekać. Bo oto obecnie Teatr Rozmaitości podjął znów sztukę, którą Warszawa знаła już z Teatru Małego, znała w wybornym wykonaniu pp. Orlińskiego i Kuncewicza pp. Pawłowskiej i Pytlińskiej.

„Koncert“ wprowadził do repertuaru Teatru Rozmaitości Kazimierz Kamiński i ta okoliczność przemawia może jednak za tym, by nawet wbrew zasadzie uwzględnić wyjątkowość tego faktu.

K. Kamiński należy do tak kapryśnych i swoistych organizacji artystycznych, że nawet przy bardzo obszernym repertuarze rzadko tylko da się ona spożytkować. Należy więc żałować, iż dyrekcja teatru nie pomyślała wcześniej o wystawieniu „Koncertu“, tymbardziej że i na ten raz wcześniej go zapowiadała, choć widocznie tylko z okładki.

Ale nawet gdy się uznaje wszystkie te okoliczności łagodzące, podjęcie „Koncertu“ nie przestaje być zjawiskiem bardzo niepożądanym i wskazuje tylko na to, jak przypadkowym i zależnym jedynie od chwilowego układu stosunków jest repertuar pierwszej naszej sceny.

Anarchja zda się coraz natrętniej wyciąga

rękę w stronę reakcji. by zespolonym wysiłkiem poprowadzić nasz teatr ku zupełnemu upadkowi.

Wystawienie „Snu srebrnego Salomei“ miało być rekompensatą, rehabilitacją ze strony dyrekcji za niedbałość z jaką w ciągu tylu miesięcy prowadzony był teatr — miało być „czy-nem artystycznym“.

Słusznie zauważył K. Ehrenberg, że nie istnieje jeszcze na świecie taki teatr, któremu można by było powierzyć wystawienie Snu srebrnego Salomei“. Słusznie też podniósł, iż Teatr Letni ze względu na brak odpowiednich urządzeń technicznych najmniej ze wszystkich nadawał się do podjęcia tego trudnego zadania. Ale, pomijając już ten brak pietyzmu dla arcydzieła, które wystawiono gdzie bądź i byle jak, i pogodziwszy się nawet z faktem, iż prymitywna maszynerja nie mogła przyczynić się do podniesienia wrażenia artystycznego, rozważmy to, co leżało poza sferą technicznych warunków. Z obsady „Snu“, zrobiono rewję weteranów, którym kazano się wdrapywać na świętą górę Horeb, co krok pałającymi wysadzoną krzakami; ale poprzygaszano je; poprzygłuszano dźwięk wieszczego głosu, który miał się z nich dobywać i tak uprzystępniono dla artystów i widzów ten najmroczniejszy z poematów Słowackiego, że śmiech brał na myśl, by ktoś mógł nie zrozumieć tej naiwnej niemal historii dwóch zakochanych par, które przez ciąg kilku aktów nie mogą się połączyć.

Przypominam sobie, że raz byłem już w podobnym położeniu, gdy w teatrze warszawskim zobaczyłem „Hamleta“. Nie poznawałem go zrazu, [gdy] [po wielu latach] po raz pierwszy posłyszałem go w ojczyściej mowie. Z głębokiej tragedji duszy nie pozostało nic; z wielkiego dramatu wykrojono bladą historję zemsty syna za śmierć ojca; obdarto z purpury królewskie dziecię geniuszu i kazano mu być jeno baśnią o złej królowej i szlachetnym królewiczu.

Ale wtedy przyczyną nieporozumienia były skróty, była nieudolna przeróbka tekstu, gdy tymczasem „Sen srebrny Salomei“ dano nam prawie w całości i wina za to „uprzystępnienie“, zbanalizowanie go całkowicie spada na artystów i kierowników naszej sceny, którzy ostatecznie dowiedli, że sferą ich zdolności i kompetencji jest co najwyżej lekka komedja francuska — „Zuzia“ Brieux'a albo „Tajfun“ Lengyel'a.

A jednak tego, czego dokonać nie mogła rozreklamowana egzotyczność „Tajfuna“, ani przysłowiowa lekkość i zręczność francuskich fabrykatów, dokonało imię Słowackiego.

Byłem na piątym czy szóstym przedstawieniu, „Snu srebrnego Salomei“ i rzadko kiedy miałem sposobność widzieć Teatr Letni tak szczerze zapełnionym jak w ów wieczór; pomimo to iż cała niemal prasa codzienna dość chłodno wyrażała się o premierze i, różniąc się co do oceny gry poszczególnych artystów bez zwykłego entuzjazmu przyjęła ten „czyn artystyczny“ dyrekcji; pomimo to, iż po wszystkich recenzjach tułał się jakiś cień lęku przed wypowiedzeniem jasno określonego zdania o „tym niejasnym i bardzo nieokreślonym utworze“ i nikt nie dodawał, iż dyrekcja zrobiła wszystko, by go nam „uprzystępnic“. Pomimo to ta publiczność warszawska, o której powtarza się bez przerwy, że dorosła co najwyżej do poziomu operetki lub farsy, potrafiła jednak w ciągu kilkunastu wieczorów z rzędu zapełniać widownię Teatru Letniego.

Nie zepsuło jej jeszcze ani lekceważenie, ani ciągle zniżanie się do rzekomego jej poziomu artystycznego, a raczej to systematyczne spychanie jej w dół, do coraz niższych gatunków twórczości, i „Sen srebrny Salomei“ pomimo wszystko zdobył sobie coś więcej, niż zwykły succès d'estime.

I jest to jedyny może, ale wiele znaczący jasny punkt w całym tym oto bilansie.

St. G.

Jak ja to widzę.

Poor Yorick.

— **O skórę apaszów.** Nigdy jeszcze mózg największego myśliciela polskiego nie zajmował prasy polskiej do tego stopnia, co plecy apaszów paryskich.

Wobec rozwielenia się w Paryżu rycerzy noża prasa francuska przypominała sobie o „dziewięcioogonowym kocie” angielskim, który—jak zapewniają kierownicy zastępów policyjnych—wyrabia w nożowcach poczucie obowiązku względem społeczeństwa. I oto położy się ze szpalt „Martin’ów”, „Temps’ów” potoki farby drukarskiej, i bulwarowi feljtoniści poczeli przeżuwać nieskończoną ilość razy wielkie pytanie: „bić albo nie bić?”. Dyskusję wzbogacił tygodnik „Illustration”, zamieszczając na łamach swych kilka zdjęć z egzekucji więziennych w Anglii. A—jak powiedziałby Mickiewicz—co „Illustration” pokocha, to „Tygodnik” polubi; nic więc dziwnego, że w ostatnim numerze „Tygodnika Ilustrowanego” znaleźliśmy reprodukcję wzmiankowanej fotografii oraz pouczający artykuł o społecznych cnotach bąta. Inne pisma, a w pierwszym rzędzie nasz najsumptowniejszy „Kurjer Warszawski”, również szpalt kilka poświęciły tej niebawale doniosłej dla nas sprawie.

Najpoważniejsi pisarze polscy, o których nigdy nie wspomina się w prasie, muszą jednak chwilami żałować, że nie są nożowcami paryskimi.

— **Niefortunna obrona.** Niezadowolony z głosów prasy p. Wasercug zaprotestował w „Prawdzie” przeciw pomawianiu go o tolerancyjny stosunek względem fanatyzmu żydowskiego (patrz „Odrodzenie” № 17), zaprotestował w sposób gwałtowny, choć niezbyt logiczny. Tłomaczył on mianowicie, że uważa fanatyzm żydowski za mniej szkodliwy dla kultury polskiej jedynie dlatego, że łatwiej znika on pod wpływem oświaty.

Ośmielimy się zauważyć p. Wasercugowi, że zniknięcie fanatyzmu żydowskiego jest sprawą przyszłości, natomiast szkodliwość jego dla kultury polskiej—kwestią teraźniejszości. Jak więc można twierdzić, że fanatyzm żydowski dziś mniej „psuje świeżość ogólnej atmosfery kulturalnego życia” na tej zasadzie, że jutro niewątpliwie zniknie?

Bo chyba „świeżość atmosfery” psuje to co jest, nie zaś to, co będzie lub czego nie będzie.

Choćby p. Wasercug sto razy powoływał się na swe dawne artykuły w „Prawdzie”, choćby stokrotnie nazwał p. Wrześniewskiego „mądrałką”, nie dowiedzie jeszcze bynajmniej, że pozostał wierny swym dawnym ideałom. Przeciwnie, gniewem swym raz jeszcze dowiedzie, że nie ma racji.

— **Jeszcze „Wiry”.** Stanowczo Sienkiewicz nie miał szczęśliwego pomysłu, gdy zabrał się do apologii N. D-cji. Nie mówiąc już o pismach postępowych, które jednogłośnie a dosadnie określiły podobny rodzaj literatury, również i pisma konserwatywne energicznie wystąpiły przeciw beletrystycznej publicystyce (czy też publicystycznej beletrystyce) pana na Obłęgorku.

Pan Straszewicz w „Słowie” w kilku feljtonach rozprawia się z „panem Grońskim” i przypomina mu wszystkie grzechy pseudo-narodowej antydemokracji, a grzechy partii tej, jak wiadomo, są liczne, jak piaski morza. Również i „Goniec” z właściwym mu animuszem atakuje pana Grońskiego.

Oczywiście urzędowa przedstawicielka Grońskich—„Gazeta Warszawska” nie pozostaje dłużną w odpowiedź i po raz setny odsądza od czci i wiary każdego, kto znajduje, że gościnne występy pana Dmowskiego (czy też Grońskiego) na arenie politycznej nie były zbyt fortunne.

Z powodu polemiki tej słusznie pisze „Młot” że „w latach 1905—7 Narodowa Demokracja odegrała rolę pospolitego ruszenia kontrewolucji przeciw dążeniom wolnościowym mas robotniczych i w walce tej po zbirowsku mordowała socjalistów” i niemniej słusznie radzi „pogodzić realistycznego Achilla z narodowo-demokratycznym Agamemnonem”.

Bo przecież niewątpliwie ambo meliores!

Poglądowa Iekcja wytworosci. Pani Iza Moszczeńska zamieszcza w ostatnim numerze „Prawdy” artykuł pod iście wersalskim tytułem: „Wielki gwałt w małym kramiku”. Z artykułu tego przytaczamy kilka specjalnie wykwinnych zwrotów

„...Bandytyzm nabrał pewności siebie i przeniósł swe metody działania w sferę publicystyki” — tymi słowy określiła „poważna” „Prawda” działalność tygodnika „Młot”.

„...ruch robotniczy uznaje, że prywatne portmonetki winny nieraz podlegać publicznej rewizji i legitymować się ze swej zawartości, co jest w najwyższym stopniu denerwujące dla lumpen proletariatu, którego na taką legitymację nie stać”. (Chyba „rewizja zawartości portmonetek” nie należy do funkcji „Prawdy”, — uw. Poor Yor.)

„...Jest to zmuszenie i nieapetyczny walczyć z wrogiem, o którego istnieniu wiemy tylko stąd, że gryzie. Wytaczać argumenty to tyle co sięgać po armatę—tam, gdzie na dobrą sprawę prosek perski wystarczyć powinien” (Szkoda że pani Iza nie sięgnęła tu po wodę kolońską, by nadać zwrotom swym nieco miłszy zapach—uw. P. Y.).

Koroną artykułu jest następujące zakończenie:

„...zamiast go (lumpenproletariat) wyciągać z karczmy, zakładając mu w prasie szynkarnię”. (mowa wciąż o „Młocie”—P. Y.).

Jeśli istotnie redaktorzy „Młota” założył szynkownię, to pani Moszczeńska zupełnie niepotrzebnie wstępuje do tej szynkowni i zbyt obficie raczy się tam wulgarnym likworem polemicznym.

Nie wątpimy, że artykuł ten jest nietylko pogładowym wykładem elegancji w polemice, lecz również konsekwentnym przeprowadzeniem w praktyce rzuconego przez „Prawdę” hasła: „postępowcy, łączcie się!”

— **„Odrodzenie” w roli cenzora.** Dzieją się na świecie rzeczy zaiste dziwne. Oto okazaliśmy się niespodzianie cenzorami p. Kosiakiewicza, który pod wpływem uwag p. W. (patrz „Odrodz.” № 10) powykreślał z „Dzwonnika” liczne drażliwe i komiczne ustępy. Między innymi pod nożem gilotyны naszej padł stynny dwuwiersz: „Urodziwa jest niewiasta, biała, gładka, cyce takie”. Obecnie brzmi on: „urodziwa jest niewiasta, biała jest, gładka jest, tłusta”.

Jak widzimy, poprawionemu ustęp ten niezbyt fortunnie, lecz bądźco bądź przyjemnie nam jest dowiedzieć się, że p. Kosiakiewicz zaczyna cywilizować się pod naszym wpływem.

Lecz, pomimo zniknięcia „cyce” pani katowej i wszelkich „ti-ti-ti” pozostało jeszcze dość kwiatków, zdobiących ten arcytwór.

Bibliografja.

- Kornel Makuszyński.* Romatyczne historie Lwów 1910. B. Potoniecki i S-ka, Warszawa, E. Wende i S-ka.
Chamfort. Maksymy i myśli, charaktery i anegdoty. Przełożył K. Drzewiecki. Symposion, Lwów 1910. Warszawa, E. Wende i S-ka.
K. Laskowski. Litwaki. Powieść współczesna. Warszawa 1911. E. Wende i S-ka.

Wydawnictwa Polskiego T-wa Emigracyjnego w Krakowie.

- „Polski Przegląd Emigracyjny“ dwutygodnik, rocznie K. 6.—
 „Biuletyn Polsk. T-wa Emigrac.“, miesięcznik . . . K. 6.—
 „Ilustrowany Przewodnik po Brazylii“, napisał L. Włodek (uzupełniony Słowniczkiem polsko-portugalskim i mapką Parany) K. —80

- Ilustrow. Kalendarz Polsko-Amerykański na r. 1910 K. —80
 Wskazówki dla wychodźców udających się do Ameryki i rozmówki polsko-angielskie, ułożył J. Okołowicz K. —50
 Mały tłumacz polsko-francuski dla użytku robotników polskich zatrudnionych we Francji i ich pracodawców K. —80
 Poradnik dla robotników, udających się na obczyznę (Francja, Dania, Szwecja, Czechy) z ilustracjami i mapkami, ułożył J. Okołowicz . K. —30
 Wskazówki dla polskich robotników rolnych, udających się do Francji (z mapką Francji), ułożył J. Okołowicz K. —30
 Słowniczek polsko-niemiecki dla użytku robotników, udających się do krajów niemieckich . . . K. —40

Gorszące widowisko.

(Głos robotnika).

Jako jednostka robotniczej braci,
 Która się pracą zajmuje mozolną,
 Czemu społecznym — pytam — demokraci,
 Klócą się z tymi, co krzewią myśl
 [wolną.
 O postęp polski, dotąd pełen chwały
 Przez walki wasze zdejmuję mnie twoga....
 Schowajcie miecze, bracia radykały,
 Porzućcie waśnie bo nie tędy droga!

Insynuacje, pełne wściekłej złości,
 Oszczerstwa brudne, plugawe wymysły....
 Czy tak spór wiodą czciciele wolności,
 Lub krzewiciele myśli niezawisłej?
 W kał cisnęliście szczytne ideały,
 W łachman zamienia się prorocza toga....
 Schowajcie miecze, bracia radykały,
 Porzućcie waśnie, bo nie tędy droga!

My, w których wiara bezkrytyczna zgasła
 Mieć nie pragniemy z prawd waszych
 [dogmatu,
 Możecie spór wieść zacięty o... hasła,
 Wywodów dzieła wytaczać brat bratu.
 Lecz gdy najcięższe wymierzacie wały.
 Nie miejcie siebie wzajemnie za wroga....
 Schowajcie miecze, bracia radykały,
 Porzućcie waśnie, bo nie tędy droga!

Łaknący zgonu wolności — grabarze,
 Już wam złośliwe gotują nagrobki:
 Oto są — mówią — myśli luminarze
 To nie szermierze idei, lecz sobki.
 I pierś rozpiera im tryumf zuchwały,
 Że kopnąć może was ich brudna noga....
 Schowajcie miecze, bracia radykały,
 Porzućcie waśnie, bo nie tędy droga!

WARUNKI PRENUMERATY:

W WARSZAWIE:

rocznie	rb. 8
półrocznie	„ 4
kwartalnie	„ 2

Redaktor przyjmuje od godz. 4 pp. do 6.

Na prowincji i Zagranicą:

rocznie	rb. 10.—
półrocznie	„ 5.—
kwartalnie	„ 2,50

Cena pojedynczego numeru kop. 15.

CENY OGŁOSZEŃ: Za 1/6 strony 1 raz 8 rb., 4 razy 25 rb., 10 razy 60 rb., 52 razy 280 rb.

Kierownik pisma **Stefan Gacki.**

Redaktor i wydawca: **Anna Herszwinkel.**
 Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy-Świat 47. Tel. 35-80.

Jedynе pismo postępowe
... w Łodzi! ...

„KURJER ŁÓDZKI”

Jedynе pismo postępowe
... w Łodzi! ...

Wydawnictwa rok IV.

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI
z bezpłatnym tygodniowym dodatkiem ilustrowanym
„Gazeta Niedzielną”

Kurjer jest głosicielem hasel szczeręgo postępu i prawdziwego demokratyzmu. Informacje odznaczają się wyjątkową w prasie prowincjonalnej szybkością i ścisłością.

Dział publicystyczny odznacza się doбором artykułów w sprawach bieżących, dotyczących polityki i życia społecznego. W dziale literackim pomieszczane są nowele, powieści, opowiadania, zarówno oryginalne, jak i tłumaczone.

Każdy z prenumeratorów otrzymuje co tydzień 8-stronicowy dodatek beletrystyczny na kowp p. t.

„Gazeta Niedzielną”

oficje ilustrowany kopjami dzieł sztuki, widokami miast i t. d.

„Kurjer Łódzki” wraz z „Gazetą” kosztuje

w Łodzi z odnośnieniem do domu, przesyłką pocztową na prowincję lub do Cesarstwa: rub. 8 kop 40

Półrocznie rb. 4 kop. 20 kwartalnie rb. 2 kop. 10, miesięcznie 70 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 20 kop. miesięcznie.

Kierownik i Wydawca ST. KSIĄŻEK.

Telefonu Nr. 253

Adres: Zachodnia Nr. 37.

„KRYTYKA”

Miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce

Wychodzi rok XI, w Krakowie.

„KRYTYKA” rozpada się na dwie części. społeczno-literacką i literacko-artystyczną; każda jest osobno paginowana, z końcem roku czytelnicy mają z nich cztery osobne tomy. □ □ □ □ □ □ □ □ □ □

Prócz prac samodzielnych z dziedziny politycznej w kierunku usamodzielnienia narodu, oraz z dziedziny literackiej o kierunku swobodnej wielkiej twórczości. „KRYTYKA” ma szeroki dział sprawozdawczy, informujący o najważniejszych zjawiskach politycznych, gospodarczych, literackich, teatralnych, malarskich etc. w Polsce. Od nowego roku 1910 „KRYTYKA” przynosi w dodatku miesięcznym reprodukcje artystyczne arcydzieł sztuki plastycznej.

Prenumerata wynosi w Król. i Rosji: rocznie rb. 10; półrocznie rb. 5; kwartalnie rb. 2 kop. 50.

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ulica Stachowskiego L. 10.

„GŁOS PODLASIA”, jedyny organ,

poświęcony sprawom i interesom Ziemi Podlaskiej.

„Głos Podlasia”, jako tygodnik społeczno-literacki **bezstronny**, nie służy żadnym partjom czy stronnictwom, mając jedynie dobro kraju, specjalnie zaś interesy Podlasia na celu.

„Głos Podlasia”, wychodzi co sobota w objętości 8 kolumn druku.

Adres Redakcji i Administracji: Siedlce, ul. Długa Nr. 40.

Prenumerata „Głosu Podlasia” wynosi rocznie: W Siedlcach 5 rb., z przesyłką poczt. 6 rb.

Redaktor i wydawca Zygmunt Michałowski.



NADWORNĄ FABRYKA
Fortepianów i Pianin

J. BECKER

Skład Fabryczny w Warszawie
30 Nowy-Świat 30

Tel. 84-35.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich
Słynna w całym świecie

HERBATA Z GÓR HARCU

(Dr. LAUER'S HARZER GEBIRGSTEE).

Zalecana przez najstynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez Departament Medyczny przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten przyjmowany w ilości 2—3 szklanek tygodniowo, leczy: wyrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, cierpienia żołądka i t. p., przywraca apetyt i regularne trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy i choleryny.

Cena pudełka rb. 1 pół pudełka 50 kop.

UWAGA. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone etykietą. Jedyny reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

Józef GROSSMAN.

Warszawa, Śliska № 33A.

Telefon № 184-44.

Zamiejscowym wysyłamy za zaliczeniem od 1 rubla, z doliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

DOM HANDLOWY Herman Meyer

W WARSZAWIE ulica, Hr. BERGA Nr. 2.

Żelazo. Surowiec. Cement. Węgiel. Antracyt. Metale. Cegła ogniotrwała duńska.

Oleje. Farby cynkowe. Benzyna. Terpentyna i t. p.

Zastępstwo krajowych i zagranicznych fabryk maszyn.

Polecamy Znamcom

WYKWINTNE PAPIEROSY
W SMAKU

T-wa LAFERME

„Frou-Frou“ (format średni)	10 szt. 6 kop.	„Pour la Noblesse“	10 szt. 10 kop.
„Kalina“ (format długi)		„Carski Dubec“	

W. Muśnicki i S-ka.